

# PRZEGLĄD POWSZECHNY.



Błogosławiony lud, którego Panem  
Bóg jego. Ps. 143.

ROK PIĄTY. — TOM XVII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1888.



KRAKÓW.  
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,  
pod zarządkiem Jana Gadowskiego.  
1888.

## 00. REDEMPTORYŚCI W POLSCE.

---

Jeśli w jakim kraju Europy, to z pewnością w Polsce dobrze się działo zakonom. To też znajdowały się tutaj niemal wszystkie rodzaje anachoretów, mnichów, zakonów i kongregacyj, o przeróżnej barwie szat, zajęciu, instytucie i regułach. Przy kolebce nowo zrodzonego dla Boga narodu widzimy czynnych Benedyktynów, dalej Cystersów, Norbertanów i Miechowitów. A kiedy ci znużeni pracą i zbogaceni fundacyami zaczęli używać błogiego spokoju, jawią się do podtrzymania katolickiego ducha w narodzie nowi pracownicy — to żebraczy synowie ubogiego Franciszka, co umieli na wieki przykuć do siebie serca wszystkich, mili i wyczekiwani zawsze druhowie pod strzechą szlachecką i lepianką wieśniaczą. Z nimi niemal równocześnie przybywają do Polski, płomienni jak ogień pożerający, pełni nauki i świętobliwości, synowie Dominika. Dali Polsce patronów, dali męczenników i mężów uczonych. Dalej Karmelici obojej reguły, Augustyanie zakonni i muisi, Paulini, Kameduli i t. d. Zresztą, któż zliczy te nazwy kapturowych, opasanych pasem lub rzemieniem, bosych i obutych zakonów; kto spamięta te klasztory obojej płci, co zasiały całą Polskę jak długa i szeroka, tych zakonników, co byli wychowawcami młodych pokoleń, towarzyszącymi rycerskich bojów, powiernikami sumień, przyjaciółmi i doradcami królów i magnatów, ulubieńcami szlachty, opiekunami biednego ludu.

Pracowały zakony w Polsce i praca nagradzała im się sowicie, bo chlebem i złotem, pamięcią i wdzięcznością, ziemią i niebem. Niejedną piękną kartę dziejów naszych wypełniają wielkie

ich zasługi, poświęcenie, bohaterstwo i świętość życia. A jeśli zdarzały się z ich strony zdrożności, błędy a nawet występki, nie traciły jakoś zakony ani wziętości, ani dobrej sławy. Ojcowie nasi byli w tej mierze dziwnie tolerantnymi i pobłażliwymi, bo nieraz aż do przesady.

Jeden był tylko wyjątek w tej mierze. Benjaminek wszystkich zakonów w Polsce doznał nieprzychylności niezwykłej, surowo został on osadzony i bezwzględnie potępiony. Podejrzenia nieuzasadnione, kalumnie nieprzyjaciół przyjęto za prawdę i zdyfamowano zakon bez sądu i winy. Tymto Benjaminek nieszczęśliwym to zgromadzenie OO. Redemptorystów, znanych u nas pod nazwą Benonów lub Benonitów, co przybywszy do Warszawy w końcu osiemnastego wieku, po dwudziestoletniej błogiej działalności byli zmuszeni opuścić kraj nasz z wyrokiem banicyi na początku obecnego stulecia.

Dziś pamięć o Benonach zaginęła. Ledwo kto wie dzisiaj o ich pobycie i działalności w Polsce. Na miejscu, gdzie stał ich kościół i klasztor, dziś stoi kamienica oznaczona numerem 1877. Ich szkoły i zakłady opustoszały z ich ustąpieniem i przeszły w inne ręce albo na inne cele obrócone zostały. Pomarli ci, co byli świadkami ich cnót, co im zawdzięczali cichą pomoc w ubóstwie, pociechę w utrapieniu, zwrot na drogę cnoty, a wreszcie zbawienie wieczne. Wśród gminu miasta Warszawy i u ludu z jej okolic dopytałby się jeszcze dziś o żarliwych kazaniach, prześliznem nabożeństwie, nadzwyczajnych nawróceniach i bezprzykładnej ich pracy i poświęceniu dla biednych i grzesznych. Tamby posłyszał rzewny lament wprost z serca wdzięcznego ludu wyrwany, a oplakujący stratę ukochanych ojców w żalosej piosence<sup>1</sup>.

Ale w świecie uczonym rzadko usłyszeć się daje słówko dla nich pochwały, częściej daleko uprzedzenia, jak miałem sposobność przekonać się o tem, robiąc poszukiwania w tym względzie. „Księżę“ mówili mi ludzie dobrej wiary a znający historię naszego

<sup>1</sup> Oto urywek z takiej piosenki, której w całości odszukać nie mogłem:

Widzisz o Boże, co się z nami dzieje  
 Nie mamy księży w Benońskim kościele,  
 Nie mamy ofiar, któreśmy miewali.  
 Choć kazaniemiami piersi pozrywali...

kraju, „to wiadoma rzecz, że Benoni byli zdrajcami“. Owszem jeden z dziwną naiwnością mi powiedział: „Ciekawa to rzecz Hoffbauera dziś kanonizują, a przecież to historycznie dowiedzionem, że byli oni „zdrajcami i szpiegami“. Prócz takich przekonań spotkać się chyba można z karykaturą wyobrażającą ich wywiezienie o jakiej wspomina Kraszewski, a jaką i myśmy mieli sposobność oglądać na ostatniej wystawie obrazów w Krakowie.

Jedynie w literaturze i historii szukać należy wiadomości o nich, ale czy prawdziwej? Z małym wyjątkiem trzech lub czterech autorów, reszta świadectw piśmiennych zwraca się przeciw OO. Redemptorystom, i obrzuca ich zmyśloną a bezczeszczącą ich imię potwarzą. Nienasycona chciwość bogactw, szczepienie bigoteryi i fanatyzmu, oto występki jakie im przypisują, a nadto co gorsze nad wszystko, rzucają na nich grube i hańbiące podejrzenie intrygantów politycznych i zdrajców kraju, który ich gościnnie przyjął i lat kilkanaście żywił swem chlebem. Z tem anathema wywieziono ich z Warszawy dnia 20 czerwca 1808 roku, i ta plama po dziś dzień cięży na ich Zgromadzeniu.

Że taki a nie inny sąd panuje w literaturze naszej o Redemptorystach, że opinia ta niemal ogólna, tego nie trudno dowieść. Któż jest bowiem kierownikiem najzwyczajszym i najpowszechniejszym zdania o rzeczach minionych. Do jakiegoto źródła ucieka się czytająca publiczność, chcąc się na prędce poinformować o zaszyłych wypadkach, zmarłych osobach i t. d. jeśli nie do encyklopedyi. Wprawdzie nieraz narzekamy na ich płytkość, stroniczość i pobieżność, lekceważymy częstokroć wiedzę z niej zaczerpaną; ale koniec końców w danym razie najchętniej i najpierwej chwytamy za encyklopedyę. A nie tylko przeciętny ogół mniej lub więcej wykształconej inteligencji, ale nawet niejeden z mających pretensyę do szerszej wiedzy, zapomaga się na tej drodze, jeśli nie idzie o napisanie wyczerpującego w poważnem jakimś czasopiśmie artykułu, lub odczytu przed słuchaczem gruntownie wykształconym.

A cóż nam mówią encyklopedye o Redemptorystach? Biorę za najdawniejszą i najobszerniejszą a bezprzecznie w niej jednej rzeczy krytycznie opracowaną, i w artykule podpisanym przez F. M. S. (Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego), a więc bada-  
cza naszych dziejów ogólnie za sumiennego poczytywanego, dowia-

duje o przybyciu dwóch Redemptorystów w r. 1781 do Warszawy, którym bractwo św. Benona oddało w zarząd kościół i klasztor jezuicki. Działalność ich w ten sposób skreślona. „W r. 1793 „szkoła Benonów liczyła 350 uczniów płci obojej. Kościół zaś „i księży odtąd Bennonami zwani takiej nabyli wziętości, iż bar- „dziej od wszystkich byli odwiedzani, mianowicie za czasów pru- „skich, kiedy sprowadzili sobie z Wiednia statwę Matki Boskiej, „pomnożyły się zgromadzenia ludu na nabożeństwa trwające w tym „kościółce co dzień aż do późnej nocy. Wprawdzie władza duchowna „miejskowa starała się wstrzymać ową niezwykłą ich gorliwość, „wszelako wpływ Benonów szczególnie na lud ubogi i kobiety był „niezmierny... często też mieszały się i do spraw świeckich, „w czem niejednokrotnie narazili się władzom krajowym, stąd po- „wstało mniemanie, iż to byli ukryci Jezuici. Gdy nadto w czasie „pobytu wojsk francuskich ściągnęli na siebie podejrzenie, iż się „trudnią także i sprawami politycznymi, dekretem księcia warsza- „wskiego na żądanie dworu francuskiego uznano pobyt ich w kraju „za szkodliwy, kościół odebrano i zamknięto, księży zaś kosztem „rządu wywiezieni zostali w dniu 20 czerwca t. r. z Warszawy“<sup>1</sup>. Inny późniejszy o dziesiątkę lat podręcznik podobny, taką podaje wiadomość. „W ciągłej walce z władzami rządowymi, naraziwszy „się Francuzom 9 czerw. 1808 wydalonymi zostali“<sup>2</sup>. Trzecia z kole- „lei znów encyklopedia tłumaczy ich banicyę gdyż „podejrzeni „o mieszanie się do spraw politycznych a nadto z uwagi, że ciągle „dniami i nocą odbywanemi nabożeństwami, więcej szkody niż po- „żytku przynoszą“<sup>3</sup>. Najnieprzychylniej atoli wyraża się „Encyklo- „pedya Wiedzy ludzkiej“: „Księża ci urządzali niezwyčajne ceremo- „nie religijne, przez co pozyskali sobie zaufanie i wziętość u pobożnej „częstki publiczności. Gdy atoli za czasów księstwa warszawskiego „zaczęli się trudnić politycznymi intrygami przeciw Francyi, przeto „na żądanie Napoleona wydalono ich z kraju“<sup>4</sup>.

<sup>1</sup> Encyklopedia powszechna. Tom III. Warszawa 1860.

<sup>2</sup> Adam Wiślicki. Encyklopedia powszechna. Warszawa 1871.

<sup>3</sup> Encyklopedia powszechna mniejsza. Tom II. Warszawa 1872.

<sup>4</sup> Encyklopedia wiedzy ludzkiej wydawana pod kierunkiem Redakcyi Tygodnika Ilustrowanego i Wędrowca. Tom I. Warszawa 1872.

Komu wystarczają wiadomości w encyklopedyi zawarte, a nie ma szczególnej przyczyny, by zbadać bliżej tę sprawę, przychylniej opinii z tych zapisków z pewnością nie wyniesie. Nie każdemu jednak to wystarczy, niejeden radby bliżej się dowiedzieć, w jaki to sposób szczepili oni fanatyzm wśród ludu, co za zatargi mieli z rządem i władzą swą duchowną, i na jak wielką skalę prowadzili oni intrygi z obcemi mocarstwami. Trzeba się więc poradzić bardziej poważnych dzieł, historyi z owych czasów, pamiętników, monografij, a zwłaszcza miasta Warszawy i t. d.

Chociaż to czasy nie tak dawne, bo ledwo sto lat upłynęło, jak przybyli Redemptoryści do kraju naszego, a 80 mija w obecnym roku, jak byli zmuszeni ustąpić po raz pierwszy, jednak mało w tej mierze zapisków historycznych. Czasy to były smutne, wojenne, czasy rozbiorów a później dzieje księstwa warszawskiego, tryumfy Napoleona, koleje naszych wojsk, ich świetny udział w podbojach olbrzyma Zachodu zaprzatają przeważnie historyków, a w obec tych faktów, wypędzenie zakonu, złożonego po części z cudzoziemców, zbytnio w kraju nie rozwielnionego, schodzi do rzędu fackików, które lekcewały historia. Jednak nie brak w tym względzie wskazówek, i krótkich w ogóle relacyj o ich wypędzeniu z podaniem powodów.

Najobszerniejszy ze wszystkich opis pobytu i działalności OO. Redemptorystów w Polsce podał Kraszewski w dziele, który zatytułował „Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta“. Kraszewski nie ma wprawdzie sławy historyka, choć pisał wiele dzieł historycznych i na tle dziejów osnuł znaczną część swych powieści. Ale zawsze to pisarz nader poczytny i dzieła jego znajdują się w rękach szerokiej publiczności. W pamiętniku tym zawierającym w sobie sylwetki kilkunastu osób z owych czasów w ogóle dość wierne, poświęcił przydłuższe wspomnienie OO. Benonom. Zgromadzenie to, wedle Kraszewskiego, założone przez św. Ignacego (sic!) jest gałęzią zakonu Jezuitów. Przybyli z Niemiec do Warszawy jeszcze za Zygmunta III. 1623 r. (a więc istnieli przed założeniem swem) i wystawiwszy kapliczkę pod wezwaniem św. Benona, rozpoczęli w niej nabożeństwo niemieckie. Z czasem z hojności królewskiej Władysława IV. i jałmużn wymurowali sobie kościółek i założyli szkołę. Pominąwszy całą historyjkę o szynkowaniu piwa

i obrazkach św. Peregrinusa, dowiadujemy się, że w ich kościele lud „codziennie zgromadzał się do wspomnianego kościoła, w którym od wschodu słońca do późnej nocy było ciągle wystawienie „Najświętszego Sakramentu i kazań cztery, dwa po niemiecku, dwa „po polsku... Władza duchowna ściślej chciała w to wejrzeć i za- „bronić XX. Benonom ustawicznego wystawiania Najśw. Sakramentu „a zarazem stwierdzić cudowność tylu razem obrazów w jednym „kościółce, ale rejencya pruska, wedle swego systemu tolerująca „wszystko, wzbronila zwierzchności duchownej śledzenia tego, z po- „wodu szczególnej dla Niemców przychylności. Tak tedy XX. Be- „noni wsparci protekcją rządową, zupełną wypowiedzieli podległość „jurydyceki duchownej i tak potrafili umocnić u ludu przekonanie „o swej świątobliwości, że gmin fanatycznie zbierał się szczególnie „do ich kościoła nieustannie. Niewiasty, gospodynie porzucały obo- „wiązki swoje w domach a całe dni spędzały na słuchaniu nauk „i odprawianiu nabożeństwa u XX. Benonów. Ci z ustawicznych „jałmużn ciągnęli wielkie korzyści. kilkanaście dam bogatych były „poddane ich kierunkowi, całe swe dochody ze szkoda familii obra- „cając na XX. Benonów. Na ostatek stali się niebezpiecznymi dla „samego rządu, gdyż najlicniejszą klasą, gminem, jak chcieli, wła- „dali. Oni z całego duchowieństwa byli najbogatsi. Po zmianie „rządu pruskiego, gdy ustanowiono nowe władze polskie, XX. Be- „noni przewidując przyszłość, znaczne kapitały wywieźli za granicę“<sup>1</sup>.

Krótko i niewyraźnie przypisują im jakąś winę „Dzieje księ- „stwa warszawskiego“<sup>2</sup>. „Jeden tylko zdarzył się czyn jawnego „i bezpośredniego wystąpienia władzy francuskiej, a tem było nie- „spodziane wywiezienie XX. Benonów w czerwcu przez rezydenta „francuskiego zarządzone, a pod eskortą żandarmów francuskich „dokonane. Książa ci, którzy wywierali wielki wpływ na umysły „pospółstwa warszawskiego i w klasie uboższej licznych i żarliwych „mieli stronników, ściągnęli na siebie ten samowolny krok władzy „francuskiej z powodu korespondencyi, jaką prowadzili we wszy- „stkich niemal krajach Europy z nieprzyjaciółmi Napoleona“. Rów-

<sup>1</sup> Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta z rękopismu wydany przez I. Kraszewskiego. Poznań 1876 str. 283—289.

<sup>2</sup> Dzieje księstwa warszawskiego przez Fryd. hr. Skarbka. Lwów 1886. Tom I. str. 222.

nież pobieżnie wspomina o tem Teodor Morawski<sup>1</sup> zresztą sumienny i bezstronny historyk: „Policya francuska odkryła jakieś zmywy „pruskie z bractwem niemiecko-katolickiem S. Benona w stolicy, „a które odziedziczyło było kościół jezuitski i wywierało wpływ „między rzemieślnikami. Skończyło się, jak rozkazał Napoleon na „rozwiązaniu bractwa i wywiezieniu najwinniejszych do Kistrzyna“.

Nieprzychylny o nich sąd wydaje „zasłużony na polu historii, „literatury i bibliografii“ Franciszek Maksymilian Sobieszczański. „Supremowano ich dekretem z d. 29 czerwca 1806 r. z powodu, „iż w postępowaniu tych księży upatrywano dążność OO. Jezui- „tów i liczne poszlaki, ku temu znajdowano“. A nie chcąc tego bliżej rozwijać, cytuje z notat Magiera ustęp przydłuższy o ich powstaniu, kończący się temi słowy. „Był to rodzaj dawnych Je- „zuitów, którzy zaczęli od gorliwej służby Bożej, nowe w tym ko- „ściele wprowadzając nabożeństwa, przytem nie zaniedbując pomna- „żać dostatków swoich. Zajmowali się oni szczególnie udzielaniem „nauk duchownych, mianowicie kobietom... Lecz Benoniści posu- „nęli za daleko opiekę swoją nad tą płcią pobożną. Służące, ku- „charki zwiedzały także klasztor, składając im podług możności „rozmaite ofiary, a z tego powodu mieli nawet za rządu pruskiego „wytoczoną przed sądem sprawę... W r. 1807 przebrawszy miarę „gorliwości, gdy z obecnymi na nabożeństwie w swym kościele ofi- „cerami do przykraj przyszli rozprawy“, za rozkazem rządu wywie- zieni zostali z Warszawy<sup>2</sup>. Jeden jeszcze pozostaje nam sąd przy- toczyć, który wyszedł z pod nader poważnego pióra. P. Władysław Wislocki w artykule „Warszawa na początku r. 1796“ przyszedłszy na Benonitów, wspomniawszy ich przybycie, i że w latach 1794/5 i 1806/7 obwinieni o szpiegostwo i spiski polityczne, wydalenii zo- stali z kraju, dodaje: „Dzisiaj bronią ich wprawdzie niektórzy od „tak ciężkiego zarzutu, choć bardzo niezręcznie, bo w braku wła- „ściwych dowodów rzuceniem całej winy na Masonów i szajkę pu-

<sup>1</sup> Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane przez Teodora Moraw- skiego. Poznań 1872. Tom VI. str. 87.

<sup>2</sup> Rys historyczno-statystyczny, wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów aż do 1847 r. Skreślony przez F. M. Sobieszczań- skiego. Warszawa 1848.



„blichnych gorszycieli“ (sic!). Nie chce, jak powiada on, rozstrzygać tej kwestyi, ale przytoczywszy świadectwo M. J. Hubego, ówczesnego dyrektora szkoły głównej kadetów w Warszawie o Benno-nitach, na podstawie wiadomości, że „rosyjski generał von Buxhoevden darował zakładowi z funduszków edukacyjnych dwa „kapitały, mianowicie 28.054 i 17.295 złp.“ mimochodem tak rozumuje; „otrzymali zatem Redemptoryści od komenderującego generała rosyjskiego w r. 1794/5 razem poczesną sumkę 43.349 złp., „ale jakim tytułem, autor nie powiada. W tym samym czasie „i z tych samych rąk otrzymywał także gratyfikację zakład chirurgiczny Walentego Gagatkiewicza i Michała Bergonzoniego, „który po krwawych wypadkach r. 1794 oddawał nieocenione przysługi „w przepelnionych rannymi lazaretach warszawskich, ale otrzymał „ją tylko raz szczególnie i to w ilości 4000 złp.“<sup>1</sup>.

Innej wzmianki napróżnobyśmy szukali po pamiętnikach, monografiach i historyach z owych czasów. Ani Wejuert w swem sześciotomowym opisie Warszawy, ani Gołębiowski i Bartoszewicz w opisie kościołów warszawskich, ani wreszcie Wójcicki w swem dziele „Warszawa i jej społeczeństwo“ nie wspominają słowem o Redemptorystach.

Ale czyż potrzeba więcej dowodów na potwierdzenie, nie mówię winy OO. Redemptorystów, ale zdania, któreśmy na wstępie wypowiedzieli, że nieprzychylną i złą opinię mają u naszych pisarzy, a ta opinia jest powszechną, gdyż tylko „niektórzy“ ich bronią! Tak jest, ten długi szereg sądów i zdań wypowiedzianych przez powagi naukowe, ogłoszony po książkach najbardziej czytanych lub źródłowo opracowanych, aż nadto potwierdza to nasze zdanie. W istocie głosem historyi, głosem niemal ogółu osądzeni i potępieni zostali, osądzeni — tak, ale czy przekonani o winie? — potępieni — prawda, ale czy nie spotwarzeni — to inne jeszcze pytanie!

Z początkiem 1786 roku trzech zakonników przybyło do Warszawy. Dwóch z nich było kapłanów, trzeci braciszek, nowicyusz. Należeli oni wszyscy do świeżo założonego Zgromadzenia OO. Re-

<sup>1</sup> Przegląd naukowy i literacki. Rocznik czwarty 1876, str. 917.

demptorystów, a przybyli na wezwanie Monsignora Ferdynanda Saluzzo, nuncyusza na dworze polskim, który ich sobie wyprosił u generała zakonu do obsługi duchownej niemieckich katolików w Kurlandyi. Najstarszy z nich bo 35 lat liczący, to Klemens Maria Hoffbauer, inaczej Dworzak zwany, rodem z Taszwic, drugi młodszy od niego o lat dziesiątek, to druh jego serdeczny, kolega ze studyów i zakonu Tadeusz Hübl, rodem Czech. Obaj przed trzema laty przybyli do Rzymu na ukończenie studyów teologicznych i nie myśląc o wstąpieniu do zakonu, dziwnem zrządzeniem Bożem zostali członkami Zgromadzenia OO. Redemptorystów. Przybywszy bowiem nad wieczorem do Rzymu, postanowili rankiem do tego się udać kościoła, którego najprzód usłyszą dzwony. I wierni postanowieniu, idą nazajutrz za głosem dzwonka, który ich prowadzi do kościółka St. Guliano. Tam ich uderza widok zatopionych w modlitwie zakonników. Skromny i nabożny ich układ przy modlitwie, schludność domu Bożego i powaga w nabożeństwie zdecydowała Hoffbauera, że wyszedłszy z kościoła zapukał do furty klasztornej, prosząc o przyjęcie. Wzdragał się zrazu jego towarzyszy, ale Hoffbauer modlitwą swą gorącą do Boga uprosił mu powołanie, że nazajutrz sam pierwszy się odezwał z zamysłem zostania Redemptorystą.

Nie zawadzi tu słówko powiedzieć o samem Zgromadzeniu, tembardziej, że wielu uważa Redemptorystów za gałąź zakonu Jezuitów o odmiennym tylko stroju i nazwaniu. To błędne mniemanie utwierdziło się tem więcej, że rozszerzenie się i działalność kongregacyi przypadła na czas kasaty Towarzystwa Jezusowego. Redemptoryści, także Liguorianami zwani, początek swój wywodzą od św. Alfonsa de Liguori, Biskupa św. Agaty we Włoszech. Tenże będąc młodym jeszcze kapłanem, zapadłszy z nadmiaru pracy na zdrowiu, udał się do gór Skala na poratowanie zwątlonych sił. Bawiąc wśród ludu górskiego uderzony został i jego ciemnotą i opuszczeniem pod względem religijnym. Zrozumiał Alfons oświecony od Boga, że Boża go tutaj ręka zaprowadziła, i jemu zleca te ubogie i wzgardzone od świata dusze, aby ich sprowadził na drogę enoty i zbawienia. Pragnieniem odtąd Alfonsa i dążeniem było założyć zgromadzenie misyonarzy, którzyby naśladować życie Chrystusa Pana w pokorze i prostocie ducha, opowiadali ubogim

ewangelię. To na samym wstępie konstytucyi poleca swym synom. „Ponieważ głównym celem zgromadzenia jest zjednoczyć kapłanów „świeckich, którzyby wspólnie żyli i usilnie starali się naśladować „cnoty i przykłady Jezusa Chrystusa Zbawiciela naszego, oddając „się przytem szczególnie głoszeniu słowa Bożego ubogim, przeto „członkowie tegoż Zgromadzenia mają się oddać na usługi ludu „rozproszonego po wsiach, a zwłaszcza pozbawionego opieki duchownej, a to za pomocą misyj, katechizowania i rekolekcyj“. Wychowanie młodzieży, nauczanie w szkołach i duszpasterstwo leży już po za obrębem ich działalności i wyjątkowo tylko za zezwoleniem Piusa VI. zrobiono w tej mierze ustępstwo w Warszawie. Pierwszy związek nowego Zgromadzenia powstał w r. 1732, a więc we dwa wieki po założeniu Jezuitów. Patrząc na owoce ich prac, potwierdził Benedykt XIV. ich instytut brevem z dnia 25 lutego 1749 r. W chwili kiedy Hoffbauer z Hüblem wstępowali, Zgromadzenie istniało prócz Sycylii, Neapolitańskiego i Benewentu, także w państwie papieskiem. Tu miało trzy domy, z których jeden był w Rzymie, do którego weszli Hoffbauer i Hübl. Gdy się dowiedział św. Alfons o ich wstąpieniu, napełniło się radością jego serce i wznosząc ręce i oczy do góry, zawołał w natchnieniu: „Ku północy w Europie wielka moc pracy „na chwałę Bożą, czeka Zgromadzenie nasze“.

W krótkim przeciągu czasu stwierdzili nowo przybyli, że wstąpienie ich było opatrnościowe, pokazali się godnymi synami świętego zakonodawcy, który sam „zakochańy w Panu Jezusie“ pragnął, by członkowie jego Zgromadzenia byli żywymi przykładami jego boskich cnót i apostołskiego żywota. Najlepszym dowodem ich wielkiej cnoty było przyspieszenie im profesyi zakonnej, wyświęcenie na kapłanów i wysłanie obu na zaszczerpienie zakonu w Austrii. Z tymto zamysłem nosił się Hoffbauer od pierwszej chwili wstąpienia i często odzywał się z tą myślą przeniesienia zakonu poza Alpy. Przełożeni i starsi kapłani zakonnicy, jak opowiada biograf św. Alfonsa, O. Tannoja, sprzeciwiali się temu. Śmiano się nawet z tych jak sądzono zapędów i marzeń młodzieńczych, którym ziszczenia nie rokowano. Jeden tylko żyjący jeszcze podówczas zakonodawca św. Alfons Liguori proroczym duchem przepowiedział „Pan Bóg nie „omieszka za pomocą tych dwóch rozszerzyć swej chwały w onych

„krajach. Dziś kiedy zabrakło OO. Jezuitów, te kraje są niemal „opuszczone. Ale tam inaczej trzeba będzie urządzać misye. Tam „w pośrodku luteranów i kalwinistów, więcej potrzeba katechizowania niż kazań. Tam trzeba wprzód *Credo* wpajać, a potem usposobić lud do pozbycia się grzechu. Ci dobrzy księża „będą mogli wiele dobrego zdziałać, ale będą potrzebowali więcej „oświecenia w tej mierze. Jabym chętnie do nich napisał, ale Bóg „nie chce, abym się mieszał“<sup>1</sup>.

I widać była w tem wola Boża, kiedy tak młodych w zakonie puszczonego w świat z tak ważnem pełnomocnictwem. Pierwszym celem ich podróży był Wiedeń. Tu początkowo myślał się osiedlić Hoffbauer. Ale na złą trafił on tu chwilę. Były to właśnie czasy Józefa II., kiedy gospodarka po klasztorach odbywała się na wielką skalę. Znoszono jedne po drugich klasztory, inne skazywano na wymarcie, ocalały tylko niektóre trudniące się wychowaniem młodzieży, pielegnowaniem chorych, albo też zajęte duszpasterstwem. Ale i nad tymi zawisła żelazna dłoń prawodawcy, uszczuplono ich dochody, wzbroniono wszelkiej zależności i odnoszenia się z przełożonymi za granicą a zwłaszcza wszelkiej łączności z Rzymem. Jak tu więc myśleć o założeniu nowego klasztoru?

W sam tedy czas odebrał O. Hoffbauer rozkaz od Jenerała zakonu, aby się udał wraz z O. Hüblem do Kurlandyi. Na wychodnem z Wiednia przyłączył się do nich dawny znajomy i towarzysz O. Hoffbauera w pierwszej pielgrzymce do Rzymu, Emanuel Kunzmann, i ochotnie oddał się na usługi zakonu. Zaniechawszy tedy zamierzonej pielgrzymki do Kolonii, do grobu ŚŚ. trzech Królów, razem puścili się przez Morawię do Warszawy.

Chudo i kuso było koło nich. Całą tak długą podróż odbyli przeważnie pieszo, gdyż nie stać ich było na najem koni. Zmęczeni i zmizerowani przedstawili się nuncyuszowi, który ich przyjął nader łaskawie i nie chciał trudzić natychmiastową podróżą. Przy pierwszym zaraz widzeniu poznał w nich nuncyusz kapłanów gorliwych i przykładowych. O. Hoffbauer zwłaszcza zrobił na nim wrażenie czło-

---

<sup>1</sup> P. Karl Dilgskronn. *Leben des heiligen Alfons Maria Liguori II.* Band S. 445.

wieka niezwyklej miary i wielkiej świątobliwości, a bliższe poznanie odkrywało coraz nowe a wysokie przymioty tej duszy wybranej. Porzucił tedy nuncyusz zamiar wysłania ich do Kurlandyi a umyślił ich zatrzymać w Warszawie, tem bardziej, że naówczas w stolicy Niemców liczono na tysiące bez żadnej zgoda pomocy duchownej. Mieli oni swój kościół pod wezwaniem św. Benona i bractwo przy nim zawiązane. Ale brakło niemieckiego kapłana tegoż imienia. Kościółek ten zbudowali niemieccy rzemieślnicy za panowania Władysława IV. pobudzeni do tego przez Jerzego Leyera Jezuitę, spowiednika królewicza Jana Kazimierza. Póki istniało Towarzystwo Jezusowe kwitła tam chwała Boża, ale od lat trzynastu, tj. od kasaty Towarzystwa, ucichło w niem nabożeństwo i kościół opustoszał. Tento kościółek umyślił nuncyusz uzyskać dla swych protegowanych. W tym celu rozpoczął pertraktacye z Jenerałem zakonu, a zarazem z królem Stanisławem. Jedno i drugie się powiodło. O. Franciszek de Paolo chętnie się zgodził na tę zmianę, a król ze swojej strony pozwolił na osiedlenie się przybyszów i oddanie im kościółka św. Benona z przytykajacem doń zabudowaniem. Od tego to kościółka poszła ich nazwa Benonów lub Benonitów.

Objąwszy kościół i klasztor w posiadanie, rozglądneli się ojcowie po nowem gospodarstwie. Kościół wymagał gruntownej reperacyi, trzy były w nim ołtarze, ale zniszczone i kurzem okryte. Ale stokroć jeszcze gorsze było uposażenie domu. Jeden stół i kilka starych stołków — oto całe umeblowanie domu. Ażeby rozpocząć nabożeństwo w Kościele, aby módz egzystować jakkolwiek i pracować, trzeba było nakładu, a tymczasem całego majątku posiadał O. Hoffbauer aż trzy talary. Było więc nad czem myśleć i głowę sobie łamać, a jednak prawdziwi synowie św. Alfonsa z radością przywitani to Betlejemskie ubóstwo i wzięli się rączo do oczyszczenia kościoła, a brat Kunzman zajął się gospodarstwem domowem. Nie mając ani pojęcia o gotowaniu, wziął na się rolę kucharza, zakupił na wstępie garnek i trochę żywności i żeby nie wydawać pieniędzy, sam wystrugał trzy łyżki z drzewa. O. Hoffbauer wiernie mu dopomagał i nieraz z kuchni udawał się wprost na ambonę. Oto jedyne szczegóły jakie nas doszły z pierwszych chwil pobytu ich w Polsce. Bieda zaglądała do nich drzwiami i oknami, niedostatek najpotrzebniejszych sprzętów i rzeczyc dawał się czuć na każdym kroku,

a mimo to wesoło i z wielką ufnością w opatrzność Bożą, która cechowała O. Hoffbauera, przebywali pierwsze dni ciężkiej próby, pewni, że w końcu Pan Bóg poradzi o swej czeladzi.

Nie mniej smutne było ich położenie towarzyskie, jako Niemców w pośród stolicy polskiej, pomiędzy ludźmi bardziej niż kiedy źle usposobionymi dla cudzoziemców. Rodową bowiem nienawiść spotęgowały świeżo dokonane zabory do tego stopnia, że początkowo żaden Polak nie zbliżył się do nich, żaden nie przekroczył progu ich domu a nawet kościoła. Idących przez ulice witano szyderstwem i przezwiskami: lutrzy, heretyki i t. d.

Ale pociechą w tych strapieniach i bodźcem do wytrwania na trudnym stanowisku była dla O. Hoffbauera myśl: „Boża to wola“! „Boża to wola“ powtarzał sobie razporaz we wszystkich ciężkich przejściach i kolejach późniejszego życia, jak to zeznał jego długoletni przyjaciel O. Rinn T. J. To hasło dodawało mu zapału i siły, tem też krzepił swych towarzyszy niedoli.

Uporzędzono kościółek i zaczęło się nabożeństwo, na które tylko Niemcy uczęszczali i to nie zbyt licznie. Samo przybycie dwóch obcych kapłanów nie wiele obchodziło ludność, i nie było dostatecznym bodźcem do ściągnięcia większych tłumów, to też pracy nie było nadto w kościele. Począł się tedy oglądać O. Hoffbauer za jakimś zajęciem, bo na to przyszedł i tego jedynie pragnął, aby szerzyć chwałę Boga i nieść pomoc ludziom. Baczne oko jego dojrzało pole wielkiej pracy i mnogich poświęceń wymagające, a leżące zupełnie odlegiem.

W Warszawie naówczas liczącej około 130.000 ludności, jak w każdym większym mieście nie brakowało na nędzy. Ostatnie wypadki krwawe, przez które kraj przechodził, pogrążyły tysiące rodzin w nędzy i sieroctwie. Mnóstwo zwłaszcza dzieci bez rodziców, zgola bez żadnej opieki wałęsało się po ulicach wyciągając rękę po grosz jałmużny. O. Hoffbauer ze łzami w oczach patrzył na ich nędzę, a serce mu się krwawiło na samą myśl, jaka będzie przyszłość tych dzieci. Wiedział z doświadczenia do czego prowadzi takie uliczne wychowanie, i że z tych małych, z których teraz niejedno było jeszcze może niewinnem dzieckiem, wyrosną kiedyś pasożyty, wyrzutki społeczeństwa a częstokroć zbrodniarze.

A więc podać im rękę pomocną, zająć się ich losem docze-

snym i wiecznym, pokierować ich przyszłością, stało się teraz pragnieniem a zarazem zadaniem O. Hoffbauera. Sam wiele nie miał, ale i tą odrobiną dzielił się z potrzebującymi. Co dzień przebiegał ulice i place Warszawy, zbierał obdartych, głodnych uliczników, sam ich omywał, karmił, uczył prawd Bożych. Ale cóż znaczyło nakarmienie kilkunastu głodnych, kiedy setki innych wyciągało ręce prosząc o zmiłowanie. Czem była ich nędza materyalna, wobec zupełnego opuszczenia religijnego, w obec niebezpieczeństwa w przyszłości. I w duszy zakonnika powstała myśl święta a jak na środki, któremi rozporządzał — wielka: wznieść przytułek tym małym nędzarzom obok kościoła św. Benona, zastąpić im rodziców, pokierować ich przyszłością, wychowaniem ich zając Redemptorystów w Warszawie.

Ile więc miejsca na razie starczyło w klasztorze, pomieścili najbardziej potrzebujących, a tymczasem z towarzyszami swymi zajął się zbieraniem składek. Z miłości dla ubogich dzieciaków stał się dobrowolnym żebrakiem. Akty procesu beatyfikacyjnego o podobnym opowiadają wypadku, jaki się zdarzył O. Boudoin. Na jednej z takich wędrówek zaszedł do gospody. Nie zwrócili nań uwagi zatopieni w kartach gracje, aż kiedy przystąpił do jednego z nich prosząc o jałmużnę. Ten rozpalony trunkiem i grą porwał się gwałtownie od stołu i za całą odpowiedź plunął mu w twarz. Niezrażony tym brutalnym postępkim, ale z największym spokojem ocierając twarz, odezwał się doń z miłością i pokorą O. Hoffbauer. „To dla mnie panie, a teraz proszę o jałmużnę dla moich dzieciaków“. Ten dziwny spokój, i ta prośba pokorna umitygowały gniew. Przeprosiwszy jak najuniżej O. Hoffbauera podał mu hojną jałmużnę. Owszem, jak zeznał jeden ze świadków procesu, człowiek ów przedtem występny i bezbożny, odmienił odtąd zupełnie swe życie, złożywszy dożywnią wprzód spowiedź przed O. Hoffbauerem.

Ale bieda mimo zapobiegliwości O. Hoffbauera zaglądała jeszcze razporaz do ich domu. Kraj, a zwłaszcza Warszawa, po ciężkich przejściach wojennych, były wyniszczone pochodami wojsk, i coraz to nowymi podatkami, kwesta więc nieraz nie dopisała, a tu trzeba było nakarmić kilkadziesiąt, a jak później bywało, do kilkaset wychowanców. Zapasy się przebrały, a kupić nie było za co. Ale O. Hoffbauer nie tracił na chwilę pogody duszy. Wiedział

on dobrze do kogo się ma zwrócić i pewnym był, że ten, *który karmi ptaszki polne i daje żywność kruczętom wzywającym go*, nie da zaginać czeladce swojej. Pewnego razu, kiedy już zabrakło wszystkiego, a nie było nadziei prędkiego poratunku, udał się O. Hoffbauer, jak zawsze w podobnych razach czynić zwykł, do kościoła na modlitwę. Ukłękawszy przed Najśw. Sakramentem w gorącej zatopił się modlitwie. Skończywszy ją, wstał, zbliżył się do tabernakulum i lekko weń pukając: „Panie, rzecze, dopomóż, bo oto czas!<sup>1</sup>”. I uspokojony na duchu wyszedł z kościoła, a w tem dają mu znać, że jakiś pan nieznajomy przyszedł do furty klasztornej i złożył znaczną jałmużnę w gotówce<sup>1</sup>. O tym niedostatku a zarazem i błogiem działaniu pisał nuncyusz do Rzymu. Pius VI. odebrawszy tę wiadomość przeznaczył na ten cel 100 szkodów w złocie, które im corocznie miała wypłacać propaganda.

Czas niejaki, bo rok lub dwa lata najwyżej, OO. Hoffbauer i Hübl nosili sami we dwóch cały ciężar dnia i opalenia. Ale wysoka enota nie mogła pozostać w ukryciu. Ich nieskalane życie jako kapłanów, gorliwość w niesieniu usług duchownych, bezgraniczne poświęcenie i miłość, którą ubogim okazywali, stopiły lody uprzedzeń i poczęto z szacunkiem i uwielbieniem spoglądać na tych cudzoziemców. Lud przedewszystkiem gminny, ubodzy, sieroty przylgnęły do nich całym sercem. Nie tylko już Niemcy, ale i Polacy zaczęli się cisnąć do ich kościółka. A wszystko w nim pociągało do siebie serca wiernych. I niezmordowana praca kapłanów i schludność i ozdoba domu Bożego. Zapyłony i opuszczony przedtem kościółek przekształcał się powoli w prawdziwy przybytek chwały Bożej. O. Hoffbauer pojmował doskonale, że jako kapłan winien to powołaniu swemu, aby wedle sił pomnażał cześć Bożą nie tylko wewnętrzną, ale i zewnętrzną. To też mógł o sobie powiedzieć z psalmistą; *Domine dilexi decorem domus tuae*. Miejsce uszkodzonej figury św. Benona we wielkim oltarzu zajął piękny olejny obraz przedstawiający tegoż świętego. W jednym z pobocznych oltarzy znajdował się obraz św. Józefa, którego uważano za pierwszego i najgłówniejszego prokuratora domu, stąd też w każdej po-

<sup>1</sup> Haringer. Leben des ehr. C. M. Hoffbauer S. 38.



trzebie uciekano się doń z ufnością i pomyślnym skutkiem. Największą atoli uwagę ściągał na siebie obraz „Ecce homo“, który znajdował się w zbudowanej w r. 1801 przez O. Hoffbauera kaplicy bocznej, do której się wstępowało przez 12 schodów kamiennych. Obraz ten pociągał dziwnie bolesnym wyrazem Zbawcy i grał wielką rolę w licznych nawróceniach. Wielu występnych wyznało, że samo spojrzenie na ten obraz wywoływało w nich skruchę i obrzydzenie grzechu. Inni zaręczali, że im się pokazał Chrystus Pan we śnie w takiej samej postaci i nakazał udać się do Warszawy i odprawić spowiedź przed kapłanami u św. Benona<sup>1</sup>. W tej kaplicy znajdowała się nadto statua Matki Boskiej bolesnej, sprowadzona z Wiednia równie od pobożnych czczona, a z powodu której wiele mieli kłopotów Ojcowie za rządów pruskich, jak to później obaczymy.

Nie tylko więc lud począł się garnać do Kościoła OO. Redemptorystów, ale niedługo poczęli się zgłaszać i kandydaci do ich Zgromadzenia. Z początku byli to obcokrajowcy ale zamieszkali oddawna w Warszawie, a przeto znający dokładnie zarówno język niemiecki jak i polski. Jednym z pierwszych był O. Jesterheim późniejszy długoletni minister domu i zawołany muzyk, którego umiejętne kierownictwo chóru zwabiało później tysiące do kościółka św. Benona. Już w r. 1790, jak to widać z listu do O. Jenerała, liczyło Zgromadzenie sześciu księży, a byli niemi OO. Hoffbauer, Hübl, Jesterheim, Ecker, Rudolf i jeden nieznan z nazwiska.

(C. d. n.)

---

<sup>1</sup> Haringer. Leben des ehr. C. M. Hoffbauer S. 33.

*Ks. Zdzisław Bartkiewicz.*

